

A okna, stale, nawet nocą otwarte, ciemne zawsze były, nigdy ich światło lampy, ani świecy nie oświecało.

Tak więc Leon Massier zamieszkiwał dom przytykający do miejsca, gdzie gromadziło się siedmiu współników szajki Altenheima. Wynikało stąd, że Leon Massier był hersztem naczelnym, dowodzącym tą szajką i że komunikował się ze współnikami jakimś przejściem, istniejącym pomiędzy dwiema szopami.

Zresztą najczęściej Leon Massier wychodził o zmierzchu, a wracał bardzo późno, niejednokrotnie o świcie.

— A czy wiadomo, co robi? — pytał Lupin swego towarzysza.

— Nie. Tryb jego życia jest nieregularny, znika czasem na kilka dni... a może raczej zamyka się u siebie. Ostatecznie nic o nim nie wiadomo.

— Otóż dowiemy się i to wkrótce.

Mylił się jednak. Po tygodniu usilnych starań i zabiegów, niczego się więcej nie dowiedział o szczególniejszym tym człowieku. Często, gdy tropił go zdaleka, tracił go nagle z oczu —

widocznie zniknął gdzieś w przechodniej jakiej kamienicy, a znów nie kiedy jakoby ulatniał się wśród tłumu. Wtedy Lupin wściekły, zawiedziony, biegł na ulicę Delaizement i stawał na swym posterunku. Upływały minuty, upływały kwadransy i godziny, noc nieraz zachodziła późna.

I nagle zjawiał się z powrotem tajemniczy człowiek.

— Gdzie on się przez ten czas podziewał? Co on mógł robić?

IV.

— Telegram miejską pocztą dla pana, mistrza — rzekł Dondeville pewnego wieczora około godziny ósmej, odnalazłszy Lupina na ulicy Delaizement.

Lupin rozdarł kopertę. To pani Kesselbach wzywa go na pomoc.

O zmierzchu dwóch ludzi zatrzymało się pod oknami i jeden z nich mówił: „A więc umówione, zabierzemy się do niej dziś w nocy“. Zeszła na dół i przekonała się, że jedna z okiennic była otwarta i że dawała się zewnątrz otworzyć.

— No — rzekł Lupin — nieprzyjacieli, jak widzę, sam wydaje nam bitwę. Tem lepiej! Dość mi wyczekiwania pod oknami Malreicha!

— Czy on jest w tej chwili w domu?

— Nie, niema go, znowu mi zniknął i to w samym środku Paryża... Ale przedewszystkiem uważaj dobrze, Dondeville. Zbierz z dziesięciu naszych najpewniejszych ludzi i zaprowadź ich na ulicę des Vignes. Dwaj już są tam na straży. Porozumiej się z nimi i o wpół do dwunastej przyjdź złączyć się ze mną na rogu ulic des Vignes i Raynouard. Stamtąd czuwać będziemy nad domem.

Dondeville oddalił się. Lupin poczekał jeszcze z godzinę, aż spokojna ulica Delaizement opustoszała zupełnie, a potem, widząc, że Leon Massier nie wraca, zdecydował się wejść do pawilonu.

Nikogo naokół... Wyskoczył na kamienne podmurówanie furtki. W chwilę potem był na miejscu.

Miał zamiar wysadzić drzwi i przetrząsnąć pokoje w celu odszukania sławnych listów cesarza, zrabowanych przez Malreicha w Veldenz. Pomyślał jednak, że przedewszystkiem jeszcze należy zbadać szopę.

Zdziwił się bardzo, widząc, że szopa otwarta, że pusta zupełnie i że niema drzwi, wybitych w murze.

Szukał długo, lecz daremnie. Na zewnątrz jednak spostrzegł drabinkę, opartą o szopę, a służącą widocznie do wydostawania się na niski stryszek pod dachem tejże szopy.

Stare paki, snopki słomy, narzędzia ogrodnicze zapelniały ten strych, dostrzegł jednak wśród tych gratów przejście, prowadzące do muru. Na końcu przejścia w murze było okienko bez szyby.

Lupin żywo nacisnął sprężynkę latarni i spojrział. Poza okienkiem była duża szopa, skład starego żelazniwa i innych przedmiotów.

— Otóż mam — pomyślał Lupin — to okienko

wybite jest w ścianie szopy rupieciarza i przez nie to Ludwik Malreich widzi, słyszy i śledzi swoich współników, sam ani widziany przez nich, ani słyszany. Teraz rozumiem, jakim to się sposobem dzieje, że oni wodza swego nie znają!

Teraz zagasło światło i zamierzał wyjść, gdy w szopie naprzeciw otworzyły się drzwi i ktoś wszedł. Zapalono lampę. Poznał Rupieciarza.

Lupin postanowił pozostać, gdyż i tak wyprawa nie mogła wyruszyć, dopóki Rupieciarz był w domu.

Rupieciarz wydobyl z kieszeni dwa rewolwery, obejrzał je dokładnie, zmienił ładunki; robił to powoli, pogwizdując jakąś operetkową piosenkę.

Trwało to może z godzinę; wreszcie powoli uchylity się drzwi i wszedł do szopy jeden z bandytów, potem drugi, trzeci, czwarty...

— Jesteśmy wszyscy — przemówił Rupieciarz. — Teodor i Grubas zjedzą się z nami na miejscu. No dalej, nie traćmy czasu. Macie wszyscy broń?

— Jakżeby!

— To dobrze. Gorąca będzie przeprawa!



Była to twarz szczupła i sucha, zupełnie bez zarostu.

— A skądże wy to wiecie, Rupieciarzu, że będzie gorąca?

— Widziałem się z wodzem... Jeżeli mówię „widziałem się“, to tylko tak sobie... Ale mówił ze mną...

— Tak — zauważył jeden z ludzi — w ciemności, jak zawsze, gdzieś z za węgla... Ach, wolałem już sposoby Altenheima. Przynajmniej człowiek wiedział, co robi.

— A teraz to nie wiesz? — odpowiedział Rupieciarz. — Toż mamy grabić mieszkanie Kesselbachowej!

— A dwaj stróże? Te dwa draby, których Lupin ustawił na straży?

— Ci nam nie zaszkodzą... Siedmiu nas jest.

— A z Kesselbachową to jak?

— Najpierw zakneblować jej buzię, a potem sznur... i tu ją sprowadzicie... O, tu na tej starej kanapie ułożyć ją macie... Tu czekać będziecie na dalsze rozkazy.

— A czy dobrze on zapłaci?

— Przedewszystkiem dla was klejnoty Kesselbachowej.

— Tak, jeżeli się uda, ale co dostaniemy na pewno?

— Po trzy banknoty stufrankowe z góry dla każdego. A po wszystkiem, drugie tyle.

— Masz pieniądze w ręku?

— Mam.

— No to dobrze. Można sobie mówić, co się komu podoba, ale już jak chodzi o zapłatę, to nie znajdzie drugiego takiego.

I dorzucił tak cichutko, że Lupin ledwie dosłyszał:

— Ale powiedz jeszcze, Rupieciarzu, jeżeli przyjdzie wziąć się do noża, czy jest za to osobna premia?

— Tak, jak zawsze. Dwa tysiące.

— A jeżeli to Lupin?

— Za niego trzy tysiące?

— Ach, gdyby tego można dostać!

I jeden za drugim powychodzili z szopy.

Lupin usłyszał jeszcze te słowa Rupieciarza:

— Oto taki plan ataku: dzielimy się na trzy grupy. Gwizdek... i wszyscy marsz! naprzód!

Lupin śpiesznie wyszedł ze swej kryjówki, zszedł po drabinie, obszedł pawilon, nie wchodząc do niego i znów przekroczył sztachety.

— Tak, prawdę mówił Rupieciarz, gorąca będzie przeprawa... Al do mojej skóry radziby się dobrać! Premia za Lupina! Łajdaki!

Wsiadł w autotaksometr.

— Na ulicę Raynouard!

Wysiadł na trzysta kroków od rogu des Vignes i dalej poszedł pieszo.

Ku wielkiemu swemu zdumieniu, nie zastał Dondeville'a na rogu ulicy.

— To dziwne — pomyślał — a przecież to już dwunasta... Coś mi to podejrzanie wygląda.

Począł cierpliwie dziesięć, potem dwadzieścia minut. Nikt się nie zjawiał. Czekać dłużej było niebezpiecznie. Ostatecznie choć Dondeville ze swoimi nie stawiał się, był przecież stary Charolais z synem, stojący na straży... we trzech odeprą atak, zwłaszcza z pomocą służby...

Ruszył tedy. Idąc jednakże, zauważył dwóch ludzi, skradających się w cieniu. Poznał w nich forpoczty szajki, Teodora i Grubasa.

— Oj, do licha! — szepnął — a tom się zapóźnił.

Nagle odezwał się świst gwizdki gdzieś z drugiej strony domu. Na ten znak, dwaj ludzie przyspieszyli kroku i wskoczyli przez otwarte okno.

Lupin rzucił się, wskoczył na balkon i dostał się do sieni. Po odgłosie kroków miarkując, wnosił, że napastnicy przeszli do ogrodu; to go uspokoiło. Stary Charolais i syn jego musieli także słyszeć sygnał...

Wybiegł więc na górę po schodach. Pokój pani Kesselbach znajdował się na pierwszym piętrze. Wbiegł tam pośpiesznie.

Przy świetle nocnej lampki ujrzał Dolores, leżącą na otomanie, zemdloną. Rzucił się ku niej, uniósł ją i głosem rozkazującym zmusił ją do

odpowiadania.

— Gdzie Charolais? Gdzie jego syn? Gdzie oni są?

— Jakto? — szepnęła. — Przecież odeszli...

— Co? Odeszli?

— Pan pisał do mnie... godzinę temu... telegram nadany telefonem...

Podniósł leżącą obok niebieską kartkę i czytał: „Niech pani natychmiast odeśle obu stróżów i wszystkich moich ludzi. Czekam ich w Grand Hotelu. Niech się pani niczego nie boi“.

— Do stu piorunów! I pani uwierzyła! A służba pani?

— I oni sobie poszli.

Lupin podszedł do okna. Trzech ludzi nadchodziło z głębi ogrodu.

Przez okno sąsiedniego pokoju, wychodzące na ulicę, ujrzał zbliżających się jeszcze dwóch.

Pomyślał o Teodorze, o Grubasie, a zwłaszcza o Ludwiku Malreich, który prawdopodobnie snuł się gdzieś w cieniu, straszny, niewidzialny.

— Niema co — szepnął — zaczynam przypuszczać, że tym razem jestem zgubiony...

(Ciąg dalszy nastąpi).